

Kard. Adam
Kozłowiecki SJ

UCISK STRĄPIENIE

Wydawnictwo WAM
Kraków 2008

© Wydawnictwo WAM, 2008
Wydanie trzecie

Redakcja
INGRID KRAIŃSKA-ROGAŁA

Przejrzał
KS. STANISŁAW PYSZKA SJ

Projekt okładki
ANDRZEJ SOCHACKI

ISBN 978-83-7505-221-3

NIHIL OBSTAT. Przełożony Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego,
ks. Mieczysław Kożuch SJ, prowincjał. Kraków 19 VIII 1994 r. L. dz. 111/1/94.

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 012 62 93 200 • fax 012 429 50 03
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY:

tel. 012 62 93 254-256 • fax 012 430 32 10
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

Zapraszamy do naszej KSIĘGARNI INTERNETOWEJ:

<http://WydawnictwoWAM.pl>
tel. 012 62 93 260 • fax 012 62 93 261

Druk i oprawa:

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

wydawnictwowam.pl

SPIS TREŚCI

Przedmowa do I wydania (1967)	5
Przedmowa do II wydania (1995)	12
Przedmowa Autora	13
Organizacja obozu koncentracyjnego	15
Tragiczna jesień	31
W więzieniu – Kraków	61
Więzienie w Wiśniczu	79
Lato bez słońca – Oświęcim	123
Dachau	219
Jezuici polscy, ofiary terroru hitlerowskiego (1939-1945)	567
Sylwetki niektórych jezuitów polskich z obozów	571
Wykaz osób	585

PRZEDMOWA DO I WYDANIA (1967)

Jeszcze jedna książka-wspomnienie o niemieckich obozach koncentracyjnych! Czy potrzebna? Przecież tzw. literatura obozowa jest już tak bogata. W kraju i za granicą ukazało się zaraz po wojnie i w latach następnych wiele dobrze, ciekawie i niekiedy z dużym talentem napisanych książek, nie mówiąc już o publikacjach dokumentów ujawniających zbrodnie hitlerowskich siepaczy. Obok ludzi, którzy chcieli dać świadectwo okrutnej prawdzie w formie prostych opowiadań czy sprawozdań z przeżytej grozy i męki, chwycili za pióro znakomici pisarze: Zofia Kossak, Gustaw Morcinek, Michał Rusinek, Tadeusz Hołuj. Debiutem *Dymy nad Birkenau* Seweryna Szmaglewska weszła w szranki najlepszych artystów pisanego słowa. Nie tak dawno ks. Wojciech Gajdus, Zofia Posmysz i Wanda Półtawska przypomnieli tamte lata, których wspomnienie nawet w snach straszy i oblewa potem.

Po co więc ukazuje się *Ucisk i strapienie* ks. arcybpa Adama Kozłowieckiego? Po co to jeszcze jedno świadectwo, które nawet nie pretenduje do rangi dzieła literackiego? Po co ten pamiętnik więzienny i obozowy, który zdaje się już niczego nowego nie wносить w tę tak dobrze poznaną przez miliony ludzi straszną dziedzinę krzywdy, bólu, poniżenia, zagłady, rozpacz, bestialstwa i bohaterstwa?

Wiele jest odpowiedzi na to pytanie: Po co?

Najpierw gwoli prawdy trzeba stwierdzić, że książka-pamiętnik Kozłowieckiego wnosi jednak coś nowego w naszą wiedzę o życiu w więzieniach i obozach. Mało, stanowczo za mało znaleźmy warunki życia w więzieniu krakowskim przy ul. Montelupich w pierwszych miesiącach okupacji, a jeszcze mniej w Wiśniczu. Szczegóły opisane w *Ucisku i strapieniu* są dla wielu z nas nowe i bez wątpienia znamienne dla tego etapu udręki poprzedzającej mękę obozową.

Autorzy opisujący obozy (np. ks. bp Franciszek Korszyński, *Jasne promienie w Dachau*, Pallottinum 1957) ujmują na ogół tę bolesną tematykę syntetycznie, grupując ją w pewne zespoły zagadnień. Kozłowiecki, stosując konsekwentnie metodę pamiętnika-dziennika, relacjonuje **szczegóły**, całą masę szczegółów. A wiemy dobrze, czym jest szczegół, każdy najmniejszy nawet szczegół życia w ustawicznej nekającej niepewności, w strachu, w głodzie i w ciągłym zagrożeniu.

*O, te wszystkie drobne, małe rzeczy,
Z których każda rani i kaleczy...*

(L. Staff)

Uwaga i predylekcja naszego Autora kieruje się w stronę szczegółu. Nasza ciekawość, w tym przypadku zdrowa ciekawość, jest mu za to wdzięczna.

Wreszcie jest on przedstawicielem najliczniejszej wspólnoty zakonnej w obozie, wspólnoty jezuickiej. W Oświęcimiu było ich 25, w Dachau prawie trzy razy tyle – 70. Książka Kozłowieckiego jest pierwszą relacją jezuity o jezuitach w więzieniu i w obozie.

A teraz odpowiedzmy na pytanie: Po co?

Po pierwsze po to, by przypominać i przestrzegać, aby nie powtórzyło się w takiej samej czy innej formie to, co obróciło w popiół miliony istot ludzkich. Jak wciąż aktualne jest wołanie o pokój dla świata, wołanie ze wszystkich wysokich i niskich miejsc naszego globu, zarówno ze wzgórze watykańskiego czy z trybuny ONZ, jak i z ulic i placów miast niedawno odbudowanych z ruin, tak samo aktualne i konieczne jest przypomnianie i przestrzeganie przed tą podłą towarzyszką wojny, jaką była okrutna i pełna pogardy nienawiść obozów koncentracyjnych. Są pewne lekcje historii, o których nie wolno zapomnieć pod grozą, że mogą nam ponownie skoczyć do gardła jak chyłkiem skradające się wilki. Zmaganie się dobra i zła, miłości i nienawiści, człowieczeństwa i bestialstwa, sakramentu Baranka z sakramentem Byka, jakby powiedział Heinrich Böll, jest najgłębszą i najprawdziwszą, a właściwie jedyną rzeczywistą tkanką historii ludzkiej. Tak twierdzi za Biblią John Steinbeck w *Na wschód od Edenu* i wiemy, że ma rację. To nie jest jakaś mglista historiozofia. Ostatnia wojna, ze wszystkich dotąd najbardziej powszechna i najbardziej okrutna, wlokąca za sobą druty kolczaste obozów-łagrów i zatruwająca niebo dymami krematoriów, ta wojna z całym swym przeklętym inwentarzem potwierdziła Steinbeckowską wizję historii ludzkiej. *Ucisk i strapienie* przeżyte etapami w więzieniach Krakowa i Wiśnicza, w obozach Oświęcimia i Dachau, wspomnane w dalekiej Zambii i przypomnane teraz przede wszystkim pokoleniom zrodzonym już w wolności, pokoleniom, które nie przeżyły głodu, strachu i nie patrzyły zagładzie w nieubłagane oczy – to właśnie pełna odpowiedzialności przestroga.

„Radość to witamina, potrzebna ludzkiemu organizmowi jak słońce i powietrze” – pisze Szmaglewska w *Dymach nad Birkenau*. Obozy były zagładą radości, a tym samym zagładą ludzi. Autor *Ucisku i strapienia* podpisałby się pod słowami Szmaglewskiej. Z jakąż dziecinną bez mała radością opisuje wśród dachauowskich okropności zawody piłki nożnej drużyny księży-więźniów polskich z drużyną księży-więźniów niemieckich. Z jakimż entuzjazmem i z dumą narodową zachwyca się występem polskiego amatorskiego teatru obozowego w Dachau. Nie wiadomo, czyj opis jest bogatszy, trafniejszy, gorętszy – Kozłowieckiego czy Morcinka w *Listach spod morwy*.

Ale Kozłowiecki, śmiem twierdzić, patrzy głębiej w „sedno sprawy”. Najmędrsze słowo, jakie wyrosło na zroszonej krwią, potem i łzami glebie *Ucisku i strapienia*, to słowo: *Ach, jak dobra jest dobroć!* Więziony, bity, kopany, głodzony, znieważany doświadczył całej skali złości, nienawiści i okrucieństwa. **Spragniony jest dobroci.** Ocalenie, nie lekarstwo, nie łagodzący plaster, ale ocalenie widzi w dobroci. Z jakąż chciwością człowieka umierającego z pragnienia

chwytą każdą, najmniejszą nawet kropelkę dobroci, każdy objaw dobrego człowieczeństwa przebijający się jak krokus na wiosnę przez zimną i twardą skorupę złości i pogardy. Cieszy go dobroć, nie żywi nienawiści, broni się żarliwie i pokornie przed jej pokusą czy mimowolnym odruchem. Wierzy głęboko, owszem **wie** z doświadczenia, z jakże bolesnego, jakże miarodajnego doświadczenia, że tylko dobroć, że tylko dobra wola może zbudować lepszy świata – świat pokoju, zaufania, życzliwości i szczęścia na tym nie najlepszym ze światów.

Uleczony z naiwnego optymizmu nie popada w zgorzkniały pesymizm. Wierzy w dobroć, bo nawet w Oświęcimiu, bo nawet w Dachau przykładał spragnione wargi do nikłych, a jakże rzeźwiących, jakże mocnych strumyczek dobroci ludzkiej. Na cuchnącym bagnie zakwitały jasne kwiaty. To one ocalały mimo wszystko wiarę w człowieka. Człowiek był różny, spod różnych znaków, zza różnych granic i wielorakiego języka, ale ilekroć odezwała się w nim dobroć ludzka, dobroć słowa, spojrzenia, uśmiechu, wyciągniętej pomocnej ręki, dobroć zaufania, współczucia, łagodności, tyle razy ten człowiek był bliźnim, więcej, był bratem!

Pacem in terris – wołał Jan XXIII. Czy był fantastą? Czy wysiłki Pawła VI zmierzające do ocalenia pokoju na naszej niespokojnej ziemi są wysiłkami Syzyfa, wysiłkami daremnymi? Wszystko zależy od tego, czy wierzymy w dobroć ludzką, w zdolność człowieka i narodów do wykrzesania z siebie dobrej woli. Jan XXIII wołał, bo wierzył; Paweł VI woła, bo wierzy. Arcybiskup z Lusaki woła swymi pamiętnikami, bo wierzy, że człowiek w gruncie rzeczy pragnie dobroci, że z pomocą wszystkich dobrych sił nieba i ziemi może się zdobyć na dobroć, na budowanie lepszego jutra na lepszym globie, bardziej ludzkiego jutra na bardziej ludzkiej ziemi.

Ucisk i strapienie to wołanie o dobroć i protest przeciw złości. Ale nie tylko protest przeciw złości. To także protest przeciw apostołom niewiary w człowieka i w ludzką dobroć. To protest – może mimowolny – przeciw filozofii absurdu i rozpacz; przeciw tym, co „nie wiedzą, co począć ze swoim życiem” (Sartre); przeciw tym, co istnienie nazywają „przekleństwem” (B. Russel).

Po tej strasznej lekcji lat 1939-1945 Kozłowiecki wierzy w człowieka, wierzy w ludzką dobroć, która okazała się tak mocna i tak dobra właśnie tam, gdzie ją bezlitośnie zabijano. Kozłowiecki jest świadkiem miarodajnym. Jego świadectwo się liczy. Jest rzetelne, poparte uciskiem i strapieniem, ale nie zmiażdżone pod straszną prasą ucisku i strapienia. Ta wiara w dobroć, to wołanie o dobroć, ten smak dobroci (*Ach, jak dobra jest dobroć!*) uprawnia Autora do zabierania głosu, a nas do publikowania jego głosu. To pierwsza i zasadnicza odpowiedź na pytanie: Po co?

Jaka jest druga odpowiedź? Zofia Kossak pod koniec swej wstrząsającej książki *Z otchłani* podaje trzy cele, dla których winno się pamiętać i przypominać tamtą minioną, ale mogącą powrócić „otchłań”:

Uczczenie pamięci męczenników.

Uniemożliwienie powstania kiedykolwiek nowych lagrów.

Ujawnienie jedynych żywych źródeł siły i odporności ludzkiej.

Drugi cel wyznaczony przez autorkę *Z otchłani* jest zawarty w naszej pierwszej odpowiedzi. Ale czy Kozłowiecki w swych pamiętnikach spełnia cel pierwszy i trzeci? Czy publikując je przyczyniamy się do ich spełnienia? Tak. Na pewno.

Uczenie pamięci męczenników

Iluż ich spotykamy na kartach *Ucisku i strapienia*! Jakże mało lub wcale wielu z nich nie jest znanych społeczeństwu polskiemu! Niedawno (30 X 66) *Tygodnik Powszechny* przypomniał nam tych, którzy dla dobrej sprawy dali głowy pod topór hitlerowskiego kata lub zawiśli na szubienicy. Byli to obcokrajowcy, przeważnie Niemcy. Ale czy nie warto przypomnieć synów naszego narodu, którzy wierni do końca, wierni Bogu, Polsce i swej ludzkiej godności, ludzkiej dobroci, ludzkiej odpowiedzialności zostali starci w proch przez apokaliptyczną bestię? Obok ks. bpa Michała Kozala, obok o. Kolbe stają męczennicy – o. Józef Cyrek, o. Marian Morawski i wielu innych księży, kleryków i ludzi świeckich (Stanisław Starowieyski). Edytę Stein, siostrę Teresę Benedyktę od Krzyża, zagazowaną w Oświęcimiu z tysiącami swych braci i sióstr w Abrahamie, Izaaku i Jakubie, katolicy niemieccy uważają, i słusznie, za męczennicę; od 1962 r. trwa proces ku jej beatyfikacji, choć nie są znane bliższe okoliczności jej śmierci. Cyrek i Morawski zginęli za swoją wiarę, za swoje kapłaństwo, za wierność wierze i kapłaństwu. Czy nie warto przypomnieć tej strasznej a świętej śmierci nie tylko ich współbraciom zakonnym, ale i szerokim kręgom katolików polskich? Czy nie są to męczennicy? Czyż ma się na nowo powtórzyć skarga Izajasza: *Sprawiedliwy ginie, a nikt się tym nie przejmuje. Bogobojni ludzie znikają, a na to nikt nie zwraca uwagi* (Iz 57, 1)?

Ujawnienie jedynych żywych źródeł siły i odporności ludzkiej

Bo w ogniu doświadczą się złoto, a ludzi miłych Bogu w piecu utrapienia (Syr 2, 5). Dla jednych obozy były *Misthaufen* – kupą gnoju, na której marnieli i ginęli Hiobowie XX wieku; dla drugich piecem ognistym, w którym Bóg doświadczał ludzi, badał metal serc i dzieł ludzkich. *Jawne się stanie dzieło każdego... okaże się bowiem w ogniu, który je wypróbuje* (1 Kor 3, 13). Ucisk zewnętrzny i wewnętrzne strapienie – jak dwa płomienie wypalały i próbowały człowieka, zanim jeszcze strawił go piec krematoryjny. Chwiejąc się nad samą przepaścią zwątpienia, łamany z zewnątrz i dławiony wewnętrznie człowiek czepiał się źródeł mocy, szukał ich dokoła siebie i w sobie. Dla Autora *Ucisku i strapienia* takim źródłem mocy i odporności była wiara. Wśród szalejącej nienawiści wiara w miłość; wśród obłędu, zakłamania i bestialstwa wiara w prawdę, w sens i w ludzkość. Wiara w Boga, wiara w Boga-człowieka. Jak

Pasja według św. Łukasza K. Pendereckiego, tak i pasja-męka obozowa Kozłowieckiego kończy się akcentem wiary: W ręce twoje oddaję ducha mego: odkupiłeś mnie, Panie, Boże prawdy! (Ps 30, 6).

W obozie dochodziły do głosu i działały dwie siły. Biologiczna, nie cofająca się przed niczym i nie przebijająca w środkach siła i wola przetrwania oraz ludzka i chrześcijańska siła wiary, szukająca oparcia w Bogu Ukrzyżowanym, pojmująca i przeżywająca własną mękę jako *dopełnienie męki Chrystusowej* (Kol 1, 24). Wobec zagrożenia siłą zwierzęcą człowiek szukał ratunku w sile Bożej i ludzkiej, w sile Boga-człowieka; modlił się pokornie o zachowanie wiary, nadziei i miłości; o zachowanie i ustrzeżenie godności syna Bożego; o to, by nie stoczyć się do poziomu głodnego zwierzęcia, by z siebie i ze swego doczesnego życia nie uczynić praktycznie najwyższej wartości. Nie ukraść chleba, mimo że głód szarpał wewnętrznosci; nie odmówić pomocy słabszemu od siebie, choć człowiek sam słaniał się i ostatkiem sił gonił; nie zniechęcić się do ludzi, nie obrzydzić sobie drugiego człowieka, choć był odrażający, łapczywy, okrutny... Piec utrapienia doświadczał człowieka i ukazywał jego wartość. Stop, z którego człowiek był zrobiony, ujawniał w ogniu próby elementy mniej hartowne, nędzę i słabość. Wtedy trzeba było nowej siły, żeby nie wzgardzić sobą, nie splunąć na siebie, nie zniechęcić się do siebie samego. Z pomocą przychodziły pokora i skrucha, dwie wielkie cnoty chrześcijańskie i jakże ludzkie! A wszystko, całe życie wewnętrzne i zewnętrzne, było przeniknięte **modlitwą**. Modlitwą o wiarę, o nadzieję wbrew nadziei, o miłość wbrew nienawiści otaczającej zewsząd i wbrew nienawiści budzącej się w duszy. Modlitwa jako obcowanie z Odwieczną Miłością, z Tym, który nas pierwszy ukochał i wydał się za nas na mękę; modlitwa o koniec tego piekła, o moc godnego przetrwania, o zwycięstwo dobroci i miłości, o zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości, o zwycięstwo wolności nad tyranją. Ta modlitwa ciągnęła (*Meister, ich bete immer*) była istotnym źródłem siły i odporności ludzkiej.

Apologetyka argumentów często zawodzi. Na argumenty zawsze znajdują się jakieś kontrargumenty. Ale jest jedna apologetyka nieodparta: apologetyka gleby rodzącej dobre kłosa, apologetyka drzewa uginającego się pod ciężarem dobrych owoców. O takiej apologetyce mówił Jezus. To co dawało siłę do przetrwania, i to godnego przetrwania, to co broniło przed zbydłęcieniem, przed upodleniem w strachu i głodzie, to było dobrą mocą. Ta dobra moc z góry, moc Boża w słabym człowieku, tłumaczy nam śmierć o. Kolbe, o. Cyrka i o. Morawskiego; to ona tłumaczy nam zachowanie ludzkiej godności, ludzkiej dobroci – mimo naporu ucisku i strapienia.

Czy była to jedyna siła? Czy tylko dzięki niej można było pozostać człowiekiem nawet w dżungli obozu? Sam Autor stwierdza, że byli w obozie ludzie niewierzący, komuniści, taki np. Kiesel, Wagner czy Trepl, którzy pozostali ludźmi, okiełznali bestię w sobie, zachowali godność i dobroć dzięki innym siłom. Inne siły... Siły dobre, ponieważ dobre, nie są sobie przeciwstawne, nie pożerają się wzajemnie. I wszystkie w jakiś tajemniczy sposób jednoczą się w Tym, który

jest Dobry. Skąd wiem, czy Ten, który był mocą o. Kolbe czy o. Kozłowieckiego, nie był – pod innym mianem, pod mianem miłości do człowieka, pod mianem człowieczeństwa – mocą Wagnera i Trepla? Nie naszą rzeczą o tym sądzić czy przesądzać. Jedno pozostanie prawdą: Autor *Ucisku i strapienia* ukazał nam źródło siły, które każe wierzyć w człowieka, zdobywać się na dobroć i wołać o pokój – owoc dobrej woli.

Wyzwolenie człowieka od bestialstwa, wiara w dobroć i w prawdę, umiłowanie wolności wszystkich ludzi bez względu na różnice rasowe i ideologiczne – oto czyste złoto wytopione w piecu utrapienia. Wieńczy je i jakoś ostatecznie, definitywnie sprawdza ostatni akt niewoli i pierwszy akt wolności: **decyzja wyjazdu na misje do Zambii**. Ten gorący, trochę sentymentalny, trochę romantyczny Adam, spragniony widoku polskich gór i lasów, stęskniony za swojszczyzną, miłośnik Krakowa i Zakopanego, decyduje się nie wracać do umiłowanej Ojczyzny. I może nigdy nie wróci. Boi się, że nie miałby siły oderwać się od tej ziemi-matki, od Polski. Prawdę, którą nosił w sobie czasem jak iskry, czasem jak płomień, miłość, która stała mu się wszystkim, i wolność – to powietrze dla płuc ducha – zapragnął zanieść czarnym braciom. Nie szedł służyć żadnemu kolonializmowi, nie był na niczym żołdzie, nie miał żadnych ubocznych względów. Poszedł służyć wszystkim – czarnym i białym, nie uznając różnic ani przegród. Zaskarbił sobie szacunek i miłość wszystkich. Dziś może powtórzyć za Saint-Exupérym: *Odtąd nie mam wrogów!...*

Autor *Ucisku i strapienia*, abp Adam Kozłowiecki SJ, urodził się w dniu 1 kwietnia 1911 roku w Hucie Komorowskiej (woj. tarnobrzeskie). Był uczniem Gimnazjum OO. Jezuitów w Chyrowie i Gimnazjum im. Św. Marii Magdaleny w Poznaniu. Do zakonu Towarzystwa Jezusowego (jezuitów) wstąpił w dniu 30 lipca 1929 roku w Starej Wsi k. Krosna. Studia filozoficzne odbył w Krakowie, teologiczne w Lublinie (*Bobolanum*), gdzie w dniu 24 czerwca 1937 roku otrzymał święcenia kapłańskie. Po przyjęciu święceń kapłańskich spędził jeszcze rok na studiach teologicznych w *Bobolanum* w Lublinie. Potem przebywał na III Probacji we Lwowie do 1 lipca 1939 roku. Aresztowany przez gestapo w dniu 10 listopada 1939 roku w Kolegium Krakowskim, przebywał najpierw w dwóch więzieniach: przy ul. Montelupich w Krakowie i w Wiśniczu, następnie w Auschwitz i Dachau.

Po wyzwoleniu z Dachau w dniu 29 kwietnia 1945 roku wyjechał do Rzymu. Stamtąd, odpowiadając wielkodusznie na apel Generała zakonu, udał się wiosną 1946 roku do Rodezji Północnej (dziś Zambia) w Afryce, do pracy w Polskiej Misji, założonej tam przez polskich jezuitów w 1912 roku. Z chwilą podniesienia Misji Rodezyjskiej do rangi Wikariatu Apostolskiego w 1950 roku, został ks. Kozłowiecki mianowany Administratorem Apostolskim Wikariatu Apostolskiego Lusaki, a w dniu 11 września 1955 roku konsekrowany na biskupa tytularnego Diospolis Inferioris. W dniu 25 kwietnia 1959 roku papież Jan XXIII ustanowił w niepodległej republice Zambii (dawnej kolonii brytyjskiej Rodezji Północnej) prowincję kościelną obejmującą arcybiskupstwo w Lusaka i siedem sufraganii. Pierwszym arcybiskupem Lusaki mianował Ojciec św. Jan XIII ks. Adama

Kozłowieckiego SJ. Urząd ten pełnił on przez 10 lat i zrzekł się go dobrowolnie w roku 1969 na rzecz czarnoskórego następcy. Obecnie abp Adam Kozłowiecki nadal przebywa i działa misyjnie na terenie Zambii. Jest uhonorowany przez prezydenta Zambii najwyższymi odznaczeniami państwowymi i obywatelstwem tego kraju.

Oto dlaczego publikujemy *Ucisk i strapienie*. Niech idzie w świat i daje świadectwo najlepszej prawdzie, tej wyrażonej słowami poety:

Aby czyniąc dobrze, bramy wesela otwierać...

(Tadeusz Sułkowski, *Dom złoty*)

Ks. Mieczysław Bednarz SJ

PRZEDMOWA DO II WYDANIA (1995)

Wydawnictwo WAM zdecydowało się opublikować ponownie, po 28 latach, *Ucisk i strapienie* ks. Adama Kozłowieckiego, jezuity, więźnia obozów w Auschwitz i Dachau i misjonarza w Zambii. Autor jest do dziś pełnym dobroci, ponad 80-letnim, pogodnym człowiekiem.

Dzisiaj ten *pamiętnik więźnia* stał się ponagającym wołaniem o opamiętanie w czasach, które nadal są pełne okrucieństwa i pogardy dla ludzkiego życia, choć dziś inaczej: nie tyle z arogancką ostentacją i butą, ile za cichym i wstydlwym przyzwoleniem wielu sprzeniewierzonych ludzkich sumień. Statystycznie jednak te ciche zbrodnie przeciw ludzkości są równie rozległe i warte siebie - tyle, że dziś nie kończą się przed Trybunałem w Norymberdze.

Ucisk i strapienie jest książką-pamiętką po tych, którzy przeszli przez piekło więzień i obozów ocalając swoją godność, nawet, jeśli stracili przy tym życie. Jest upomnieniem się o tych, którzy cierpią dzisiaj i napomnieniem dla tych, którzy także dziś zadają cierpienie innym, byśmy wszyscy pamiętali o przeszłej i przyszłej cenie tego, co jedni znoszą, a drudzy - czynią.

Książka ta wychodzi w okresie wolności słowa w naszym Kraju. Autor mógł więc swobodnie uzupełnić w niej - choć niekiedy uczynił to innymi słowami niż w I wydaniu - wszystkie 26 miejsc, które usunęła skrupulatnie komunistyczna cenzura. Mógł też swobodnie wiele dodać do tekstu II wydania. Książka przemawia więc pełniejszym, a zarazem dojralszym o 28 lat głosem swego Autora.

Abp Adam Kozłowiecki okazał się prekursorem rodzaju literackiego, za który wiele lat później pisarz Aleksander Sołżenicyn (*Archipelag Gulag*) otrzymał Literacką Nagrodę Nobla: sposobu pisania o rzeczach przerażających z lekkim dystansem, autoironią i poczuciem humoru, które w niczym nie umniejszały wagi podawanych faktów, ale czyniły straszliwą ujawnianą prawdę możliwą do udźwignięcia.

Ucisk i strapienie jest jednak - poza wszystkim - świadectwem osobistej wiary w Boga, bez której nie można ani przeżyć, ani umrzeć jak człowiek. Jest pełnym wiary świadectwem o człowieku w miejscu ucisku i strapienia, świadectwem potwierdzonym całym dalszym - pełnym i owocnym - życiem Autora, który wykorzystał otrzymaną od Boga łaskę i możliwość świadczenia o tym, co przeżył, z podwójną siłą: napisanym słowem i całą resztą życia.

Ks. Stanisław Pyszka SJ

PRZEDMOWA AUTORA

Kiedy otrzymałem polecenie spisania swoich przeżyć od dnia wybuchu wojny, stanąłem bezradnie jak dziecko pozostawione samo sobie w głębi puszczy. Przeżyć było tyle, że ze wspomnień o nich powstał w głowie istny chaos. Trzeba było jednak wziąć się do uporządkowania tych wspomnień.

Punktem wyjścia są dla mnie pewne daty, które z powodu szczególniejszej wagi i bardziej ważnych wypadków wbiły mi się niezatarcie w pamięć. Inne wspomnienia też utrwaliły się w pamięci, ale zatarły się daty wydarzeń z nimi związanych. Były poza tym liczne przeżycia charakterystyczne, typowe, częściej się powtarzające. Otóż te ostatnie przeżycia podaję pod datami fikcyjnymi, staram się jednak, by przynajmniej w przybliżeniu były zgodne z rzeczywistością. Same daty mogą być nieścisłe, bo spisuję wszystko z pamięci; w obozie bowiem najsurowiej było zakazane robienie jakichkolwiek notatek; wrażeń zaś było tyle i tak przemieszanych, że dziś jeszcze kłębią się w głowie; gwałtowność, siła tych wrażeń i doznań oraz cały tryb życia obozowego wytwarzały szczególną psychikę *Häftlinga* – więźnia obozowego; psychiki tej nie może zrozumieć ten, kto nie przeszedł przez obóz. Tępota, apatia, niewrażliwość ogarniająca z czasem człowieka nawet wobec wstrząsających przeżyć, jak np. śmierć bliskich przyjaciół, egoizm skoncentrowany dokoła jednej myśli: Przeżyć! Przetrzymać! – oto przejawy tej psychiki. Nadto zanik pamięci na skutek wyczerpania fizycznego i psychicznego był powszechnym zjawiskiem w obozie.

Fakty, podane niekiedy pod nieścisłymi datami, są zawsze prawdziwe. Nic nie zmyślam. Obca mi jest literatura, beletrystyka czy jakakolwiek chęć upiększenia, stylizowania rzeczywistości. Jeżeli jest tu coś niezgodnego z prawdą, to chyba tylko ton, niekiedy swobodny, może nawet humorystyczny, z jakim opisuję niektóre przeżycia. Bywały chwile przykre, wręcz tragiczne, z których jednak p o t e m kpiliśmy sobie nieraz. Dziś chcę je opowiedzieć w tym samym tonie, co chyba też jest wyrazem wierności naszym ówczesnym reakcjom.

Staram się opowiedzieć wszystko. Chcę być obiektywny i dlatego przytaczam fakty osobiście bardzo mi niemiłe. Wyznaję jednak otwarcie, że mimo całej mej szczerości, z jaką staram się opowiedzieć swoje przeżycia, pomijam całkowicie kilka z nich; były to bowiem przeżycia zbyt przykre, a wspomnienia o nich są ranami, których wołę nie tykać.

Najpierw chodzi mi o to, żeby odtworzyć żywy obraz życia obozowego i dać Czytelnikowi jasny pogląd na instytucję okrutną i haniebną niemieckich obozów koncentracyjnych, na ich organizację, urządzenia, a – co najważniejsze – na to, czym one były lub być miały wedle zamiarów ich twórców.

Może mi ktoś zarzucić, że w tym przypadku powodują mną osobiste, a więc subiektywne, doznania i urazy. Być może, ale przeszło pięcioletnie doświadczenie dało mi chyba pewne podstawy do twierdzenia, że moje osobiste przeżycia i sądy są jednak zgodne z rzeczywistością.

Następnie chodzi mi o to, by nie tylko przytoczyć suchą kronikę czy opis faktów, gdyż to samo nie byłoby w stanie oddać wiernie obrazu naszego życia, ale ponadto umożliwić Czytelnikowi zrozumienie i jakby współ-odczucie naszego psychicznego stanu z tamtych obozowych lat.

Powiedziałem na początku, że między innymi cechą charakterystyczną psychiki więźnia była apatia i niewrażliwość, otępienie normalnych reakcji. Ale ta właśnie niewrażliwość, ta tępota sprawiała nam nieraz wiele cierpienia, a niejeden z nas czuł się w tym cierpieniu ogromnie osamotniony. Przy tym była to niewrażliwość tylko na te bodźce, które działają na człowieka w warunkach normalnych; zastąpiła ją natomiast ogromna wrażliwość na inne bodźce, właściwe życiu obozowemu. Ażeby oddać ten nasz stan psychiczny, pozwałam sobie zatrzymywać się dłużej nad opisem uczuć, które mnie osobiście przenikały, oraz refleksji, które uparcie w nas nurtowały, myśl bowiem nasza pracowała niezamordowanie. I tutaj, w dziedzinie osobistych odczuć i reakcji, może mi ktoś słusznie zarzucić, że oddaję moje tylko doznania i przeżycia psychiczne, a nie innych więźniów. Zarzut, powtarzam, słuszny, ponieważ zdaję sobie sprawę, że to samo zdarzenie, ten sam epizod życia obozowego był w różnych psychikach różnie przeżywany, różnie oceniany.

Chodzi mi jednak o to, by przez częste powracanie do myśli i refleksji z tamtych lat dać Czytelnikowi pewien obraz życia wewnętrznego choćby jednego z więźniów, oraz umożliwić zrozumienie, iż oprócz zdarzeń i zjawisk uchwytnych, zewnętrznych, miał każdy z nas swoje własne życie wewnętrzne, niekiedy, a raczej często, bardzo bolesne, które jednak krył przed niedyskretnym okiem otoczenia.

W końcu chodzi mi o to, by pokusić się o podanie mimo wszystko przeżyć nie moich tylko, ale n a s z y c h, przynajmniej grupy najbliższych mi współbraci zakonnych; dlatego też staram się, ile tylko jest to w mojej mocy, opowiedzieć również i ich przeżycia zewnętrzne, których byłem świadkiem, a które wolno mi dziś wyjawiać. Niekiedy sięgnę nawet do ich przeżyć wewnętrznych, korzystając z własnej obserwacji i z ich zwierzeń. Zaznaczam, że opisuję nasze życie tak, jak ono się przedstawiało w naszych oczach, w przeżyciu przeciętnego więźnia, jakim sam byłem w ciągu całego mego pobytu w obozach koncentracyjnych.

Więźniowie byli różni, należeli do różnych „klas społecznych”. Byli między nimi i tzw. „prominenci”, elita obozowa, świetnie zorientowani w tajnikach dżungli obozowej, świadomi jej intryg i zakulisowych rozgrywek. Nigdy nie należałem do ich grona i od początku do końca patrzyłem na wszystkie wypadki oczami szarego, przeciętnego więźnia, i jako taki je przeżywałem.

ORGANIZACJA OBOZU KONCENTRACYJNEGO

Na czele obozu stał komendant obozu – *Lagerkommandant*. Podlegały mu oddziały SS, oraz wszyscy więźniowie. Do pomocy miał dwóch, niekiedy trzech kierowników obozu – *Lagerführer*. Pomocnikiem Lagerführera był szef raportu – *Rapportführer*; ich też było dwóch, czasem trzech. Lagerführer był zazwyczaj oficerem, Rapportführer – podoficerem. Poszczególnymi blokami mieszkalnymi więźniów kierowali osobni członkowie SS, podoficerowie lub zwyczajni szeregowcy – *Blockführer*. Na to stanowisko wybierano zwykle najbrutalniejsze jednostki z oddziałów SS; zdarzali się jednak między nimi ludzie znośni, nawet życzliwi, choć były to wyjątki, przynajmniej w pierwszym okresie powstania obozów.

Przy obozie znajdował się osobny urzędnik gestapo do przeprowadzania śledztwa i spraw będących w związku z przyczyną osadzenia kogoś w obozie. Był to kierownik tzw. biura politycznego. Natomiast śledztwo w związku z wykroczeniami popełnionymi na terenie obozu przeprowadzał tzw. *Vernehmungsführer*.

Na czele każdej grupy roboczej, tzw. komanda, stał kierownik w randze oficerskiej lub podoficerskiej, zależnie od liczebności względnie ważności pracy; był to *Kommandoführer*. Jeżeli terenem pracy był jakiś zakład, np. pralnia, kuchnia, kantyna, krawczarnia itp., to na czele tego zakładu stał ponadto członek SS jako zarządca – *Verwalter*.

Zarząd obozu wytworzył także całą hierarchię stanowisk spośród samych więźniów, którzy pomagali w kierowaniu obozem. Naczelną figurą wśród więźniów w obozie był starszy obozu lub krócej – obozowy, *Lagerältester*; było ich w obozie dwóch albo trzech. Stanowili oni łączność między Lagerführerem i Rapportführerem a obozem. Za ich pośrednictwem otrzymywaliśmy rozkazy i zarządzenia. Oni też mieli poruczoną troskę o należyte przestrzeganie przepisów i rozporządzeń władz obozowych.

Na czele każdego bloku stał starszy bloku, blokowy, *Blockältester*; jemu podlegali starsi izb – izbowi, *Stubenältester*. Personel każdego bloku stanowili: blokowy, izbowi, pisarz, kantyniarz i fryzjer blokowy. Ci trzej ostatni mieli swoje ściśle określone zadania do wykonania.

Na czele grup roboczych stał spośród więźniów tzw. *kapo* lub *Vorarbeiter*. Zwykle miał on jednego lub dwóch pomocników, *Hilfscapo*, *Vicecapo*. Jeżeli komando było liczniejsze, bywało ich nawet więcej, nieraz kilkunastu. Nadto każda grupa robocza miała swego pisarza; w licznych komandach było kilku pisarzy podlegających pisarzowi głównemu danego komanda.

Osobną organizację posiadał tzw. rewir, szpital obozowy. Wszystkie bloki rewirowe podlegały kapowi rewiru – *Reviercapo*; na poszczególnych blokach rewiru była organizacja podobna do organizacji innych bloków, z tą tylko różnicą, że blokowy nazywał się *Oberpfleger*, a izbowi *Pfleger* – mieli oni pełnić funkcje pielęgniarzy.

Dla prowadzenia ewidencji więźniów oraz grup roboczych istniały w obozie dwa biura: *Schreibstube* czyli kancelaria obozowa, oraz *Arbeitseinsatz* – coś w rodzaju biura pośrednictwa pracy¹.

PORZĄDEK DNIA W OBOZIE KONCENTRACYJNYM

A. C z a s l e t n i.

Godz. 4³⁰ rano – pobudka.

4³⁰-5³⁰ – mycie, ubieranie się, ścielenie łóżek, śniadanie, porządkowanie sypialni i jadalni, umywalni i ustępu.

5³⁰-6⁰⁰ – apel ranny.

6⁰⁰-11³⁰ (12⁰⁰ w Oświęcimiu i w Dachau od r. 1942) – praca.

11³⁰ (lub 12⁰⁰) – 13⁰⁰ – obiad, porządkowanie jadalni. W Oświęcimiu w tym czasie jeszcze apel.

13⁰⁰-19⁰⁰ – praca.

19⁰⁰-19⁴⁵ – apel.

19⁴⁵-20³⁰ – kolacja, czas wolny.

20³⁰-21⁰⁰ – porządkowanie jadalni, umywalni, ustępu.

21⁰⁰ – sen.

B. C z a s z i m o w y.

Godz. 5³⁰ – pobudka.

5³⁰-6³⁰ – mycie, ubieranie się, ścielenie łóżek, śniadanie, porządkowanie sypialni, jadalni, umywalni itd.

6³⁰-7⁰⁰ – apel.

7⁰⁰-11³⁰ (lub do 12⁰⁰ w Oświęcimiu i Dachau) – praca.

11³⁰ (12⁰⁰) – 13⁰⁰ – obiad, porządkowanie jadalni (apel).

13⁰⁰-18⁰⁰ (19⁰⁰) – praca.

18⁰⁰-19⁰⁰ (lub 19⁰⁰-20⁰⁰) – apel.

19⁰⁰ (20⁰⁰) - 20³⁰ – porządkowanie jadalni, umywalni, ustępu.

21⁰⁰ – sen.

A zatem w rzeczy samej od pobudki do godziny 21⁰⁰ było się na nogach i w ciągłej zastraszającej gonitwie, ponieważ poza pracą, w czasie wolnym trzeba się było ogolić, oczyścić, obszyć. Podałem w porządku dnia osobny czas na porządkowanie sal, umywalni itd.; było to bowiem połączone ze szczególniejszą udawką. Jedni musieli w tym czasie przebywać na dworze, na deszczu lub mrozie, przy czym bywały okresy, że karano surowo za siadanie, oceniając je jako sabotaż. W tym, co mówię, nie ma ani krzty przesady. Porządkowanie to trwało od pół godziny do godziny.

¹ Organizację obozu koncentracyjnego przedstawił trafnie i zwięźle Jan Domagała w swej cennej książce pt. *Ci, którzy przeszli przez Dachau. Duchowni w Dachau*, PAX, Warszawa 1957, s. 25-33.

WYŻYWIENIE W OBOZIE KONCENTRACYJNYM

Podaję wykaz żywienia w obozie w latach najlepszych, na początku wojny, a potem – dla porównania – żywienie przy końcu wojny.

A. Pierwsze lata wojny.

- Poniedziałek: *Śniadanie*: herbata z ziółek, niekiedy czarna „kawa”.
Obiad: litr zupy z kapusty, brukwi, marchwi, w niej trochę ziemniaków i zależnie od szczęścia 10-20 gramów mięsa.
Kolacja: 400 gramów chleba, 20-25 gramów wędliny.
- Wtorek: *Śniadanie* – to samo.
Obiad – to samo, ale bez mięsa.
Kolacja: 400 gramów chleba (to była waga maksymalna), litr zupy *Avo* lub *Knorr* – bez wartości odżywczej.
- Środa: *Śniadanie* – to samo.
Obiad – jak we wtorek.
Kolacja – jak w poniedziałek.
- Czwartek: *Śniadanie* – to samo.
Obiad – jak we wtorek.
Kolacja: 400 gramów chleba, 20-25 gramów marmolady, litr zupy *Avo* lub *Knorr*.
- Piątek: *Śniadanie* – to samo.
Obiad: litr zupy z bobiku, grochu lub kaszy.
Kolacja: 400 gramów chleba, 20-25 gramów marmolady, 20-25 gramów margaryny lub smalcu (sztucznego), 3-4 ziemniaki w łupinach.
- Sobota: *Śniadanie* – to samo.
Obiad – jak we wtorek.
Kolacja: 400 gramów chleba, 20-25 gramów sera.
- Niedziela: *Śniadanie* – to samo.
Obiad: litr zupy z mięsem, jak w poniedziałek, ale wartość zupy różna w różnych czasach. Czasem dawano makaron; przez długie okresy dostawaliśmy kwaśną kapustę.
Kolacja: 400 gramów chleba, 20-25 gramów wędliny; w pierwszych miesiącach dawano nawet słoninę.

Kto przeczyta ten jadłospis, odniesie prawdopodobnie wrażenie, że odżywiano nas całkiem wystarczająco i nie uwierzy, że w obozie panował głód. I ja miałem takie wrażenie po przybyciu do obozu; nie mogłem nawet zjeść wszystkiego, co mi dawano. Nie miałem żołądka tak pojemnego, by w nim zmieścić od razu litr zupy. Ilościowo dawano nam niby dużo, ale jakościowo o wiele za mało! Po dwóch tygodniach byłem już głodny, a potem cierpiałem nawet bardzo z powodu głodu. A inni po prostu umierali, bo na dłuższą metę przy tym wście umierało

się z głodu. Wartość odżywcza wszystkiego, co nam dawano, była znikoma. Chleb nie był pełnowartościowy, ser całkowicie odtłuszczony, wędliny w znacznej mierze pozbawione tłuszczu. Niektórych składników koniecznych dla organizmu, np. cukru, otrzymywało się za mało, innych w ogóle nie dawano. Nadto z tego, cośmy mieli otrzymać, w haniebny sposób okradali nas esmani oraz więźniowie, którzy mieli dostęp do magazynów, kuchni i wydawali porcje żywnościowe. Kradzieże te były plagą. Jedni kradli z nędzy, z głodu, inni z podłości.

Z upływem lat wojny wikt stawał się coraz gorszy.

B. Ostatnie miesiące wojny.

Poniedziałek: *Śniadanie* – bez zmian.

Obiad: 3/4 litra zupy wodnistej z odrobiną marchwi, brukwi lub ziemniaków z łupinami; zwykle były zepsute, cuchnące.

Kolacja: 150 gramów chleba, 3/4 litra wodnistej zupy z żytniej kaszy, bez soli.

Wtorek i środa: Wszystko tak samo jak w poniedziałek.

Czwartek: *Śniadanie* i *Obiad* jak w poniedziałek.

Kolacja: 150 gramów chleba, 15 gramów margaryny, zupa jak w poniedziałek.

Piątek: Wszystko jak w poniedziałek.

Sobota: *Śniadanie* i *Obiad* – jak w poniedziałek.

Kolacja: 150 gramów chleba, 15-20 gramów sera, ziółka.

Niedziela: *Śniadanie* – jak w poniedziałek.

Obiad: 3/4 litra zupy wodnistej z grochu, rzadziej z makaronem.

Kolacja: 150 gramów chleba, 15 gramów wędliny, ziółka.

To pogarszanie i obcinanie naszego wikt nie przyszło od razu. Zaczęło się stopniowo pod koniec 1941 r., aż doszło z początkiem 1945 r. do tej nędzy, jaką opisałem. Pracujący otrzymywali dodatki. W r. 1943 i 1944 dawano im codziennie w pracy 150-180 gramów chleba oraz 20-25 gramów wędliny. W r. 1945 otrzymywali już tylko 120 gramów chleba i 15 gramów wędliny. Był to tzw. *Brotzeit*. Jasne jest, że w tych warunkach kto miał możliwość „organizowania” (starania się o jedzenie na własną rękę), organizował i żył. Kto tej możliwości nie miał, żyć długo nie mógł.

POWSTANIE OBOZU KONCENTRACYJNEGO

Proces powstawania obozu koncentracyjnego przedstawić można najlepiej na konkretnym przykładzie tworzenia obozu oświęcimskiego; patrzyłem nań własnymi oczami i włożyłem weń swoją część cierpienia, znoju i potu.

Obóz koncentracyjny budowali prawie wyłącznie sami więźniowie. Po zajęciu Polski gestapo zaczęło się rozglądać za terenami pod obozy koncentracyjne.

Wybór padł między innymi na Oświęcim. Pod obóz zajęto liczne drewniane baraki, zbudowane ponoć jeszcze podczas poprzedniej wojny, oraz murowane bloki pokoszarowe. Dla załogi SS zajęto duże porządne gmachy Polskiego Monopoli Tytoniowego.

W pierwszych miesiącach 1940 r. sprowadzono do Oświęcimia z Sachsenhausen około 30 niemieckich więźniów kryminalnych, którzy przeszli już „wychowanie” obozowe. Mieli oni poczynić najniezbędniejsze przygotowania na przyjęcie pewnej liczby Polaków, potem zaś mieli się stać bezpośrednimi przełożonymi więźniów polskich. Był to element najodpowiedniejszy do nadania nowemu obozowi należytego rozmachu i charakteru.

Przy pomocy robotników wolnych spoza obozu oczyścili oni i urządzili trzy baraki dla kompanii SS (bloki 4, 5, 6), dwa piętrowe bloki dla kancelarii, duży gmach Polskiego Monopoli Tytoniowego przewidziany na koszary SS, a tymczasem przeznaczony na przyjęcie pierwszych więźniów polskich, nadto baraki dla tego samego celu (blok 3 przemianowany potem na blok 2), jeden barak dla siebie (blok 1). Zbudowali też prowizoryczną kuchnię, małą stolarnię i ślusarnię, między blokiem 1 a blokiem 3. Ogrodzili następnie płotem z drutu kolczastego bloki przeznaczone na początek obozu koncentracyjnego (bloki 1, 3, piętrowy blok 5 i 5A), nadto teren tzw. kwarantanny w gmachu Polskiego Monopoli Tytoniowego.

Gdy to wszystko było już gotowe, sprowadzono pierwszych więźniów polskich. Dnia 14 VI 1940 r. przybył transport z więzienia tarnowskiego, ponad 700 ludzi; większość stanowiła polska młodzież gimnazjalna. Umieszczono ich w kwarantannie, w gmachu Polskiego Monopoli Tytoniowego, zamienionym potem na koszary SS. Dnia 20 VI tegoż roku przybył drugi transport z więźniów krakowskich, około 400 ludzi, oraz z Wiśnicza, około 300 ludzi; tym ostatnim transportem przybyłem i ja. Cały transport z Wiśnicza, część transportu z Krakowa i z Tarnowa umieszczono już na terenie właściwego obozu, na bloku nr 5; był to późniejszy blok nr 3. Miałem zaszczyt należeć do pierwszej grupy Polaków osadzonych w prawdziwym obozie oświęcimskim.

Ta pierwsza grupa Polaków wraz z tymi, którzy stopniowo przechodzili z kwarantanny do właściwego obozu, pracowała nad rozbudową obozu dla większej jeszcze ilości więźniów oraz nad przygotowaniem koszar dla większej ilości straży SS, nadto mieszkań i will dla ich oficerów.

W miarę powiększania i urządzania obozu przybywało coraz więcej nowych więźniów, zwłaszcza że dotychczasowi powoli wymierali. W ciągu pół roku istnienia obozu przygotowano 21 bloków dla nowych więźniów, w tym sześć piętrowych, podwójnych. Zbudowano też kuchnię dla 10.000 więźniów, a cały teren ogrodzono prowizorycznym płotem z drutu kolczastego. Uruchomiono również krematorium zainstalowane przez prywatną firmę, rozszerzono stolarnię, ślusarnię, betoniarnię, szewczarnię i krawczarnię, przygotowano teren pod budowę zakładów przemysłowych. Pod koniec roku obóz osiągnął liczbę ponad 7 tys. więźniów. W tym stanie był obóz oświęcimski, kiedy go opuściłem w dniu 10 grudnia 1940 r.

W ciągu następnego roku wybudowano na wszystkich blokach parterowych piętra, wzniesiono nowe bloki piętrowe na placu apelowym, nadto nową kuchnię, zakłady przemysłowe *DAW (Deutsche Ausüstungswerke)*², obejmujące duże warsztaty stolarskie i ślusarskie, fabrykę konserw, fabrykę sztucznego kauczuku. Cały teren obozu otoczono płotem o wysokim napięciu elektrycznym. Zbudowano też filię obozu Oświęcimskiego – Rajsko, komorę gazową oraz 7 krematoriów. Liczba więźniów wzrosła do ponad 20.000.

Teraz obóz był już zorganizowany i spełniał swe zasadnicze zadanie: likwidował niepożądany władzom Trzeciej Rzeszy element, a czynił to szybko i sprawnie, bez obciążania budżetu państwowego; owszem, stał się przedsiębiorstwem dochodowym.

Więźniowie ujęci w potworne karby i tryby terroru sami wybudowali dla siebie miejsce kaźni, sami pomagali władzy w organizowaniu terroru, sami siebie nawzajem mordowali, a zamordowanych palili w licznych krematoriach. I tak z pierwszych obozowców pozostały nieliczne niedobitki, reszta, olbrzymia większość, wyczerpana pracą, głodem i złym traktowaniem, poszła do krematorium. Tym jednak nikt się nie przejmował. Przychodzili przecież inni. Jedni pracowali w fabrykach przy obozie, które miały na pieczęcie firmowej znak *G. m. b. H. (Gesellschaft mit beschränkter Haft)* – spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Pracą swą zarabiali na utrzymanie swoje, swoich strażników i katów; resztę dochodów dzielili między siebie ci, co mieli udziały w tej Spółce z ograniczoną odpowiedzialnością. Byli to Himmler, Pohl, Kaltenbrunner i inni przywódcy partyjni. Inni więźniowie nie pracowali, bo nie nadawali się już do pracy. Ci szli do komór gazowych jako element nieużyteczny.

OGÓLNY POGLĄD NA ŻYCIE W OBOZIE KONCENTRACYJNYM

Oficjalnie obóz koncentracyjny był miejscem odosobnienia elementów niepożądanych władzom III Rzeszy; urzędowo zwał się *Schutzhaftlager*. Te elementy niepożądane określano mianem *Volksschädlinge* – szkodnicy narodu. W zamiarach jednak twórców obozów były one nie tylko miejscem odosobnienia, ale przede wszystkim masowej zagłady. Obserwując dokładniej cały system urządzeń obozowych i patrząc na zachowanie się władz wobec więźniów, na sposób ich traktowania, trzeba było z logiczną koniecznością dojść do przekonania, że „wykańczanie”, wykańczanie masowe, było jeśli nie jedynym, to na pewno głównym i zasadniczym celem obozów koncentracyjnych. Z całą otwartością wyznał to Lagerführer w Sachsenhausen przy powitaniu grupy więźniów przybyłej na wiosnę 1940 r. ze Stutthofu: „Wy wszyscy jesteście gnojem wielkiego państwa niemiec-

² Niemieckie warsztaty zbrojeniowe.

kiego. Obóz zaś jest kupą gnoju, na której wszyscy pozdychacie. Wasza jedyna droga na wolność to ta” – tu wskazał ręką na dymiący komin krematorium³.

Kto przeszedł przez te obozy, kto przebywał w nich dłuższy czas, ten przy pewnym zmyśle obserwacyjnym mógł zorientować się w ich misternej, a wyrafinowanej i wyrachowanej w każdym bez mała szczególe organizacji.

Hitler był wyznawcą i wielbicielem Nietzschego; nic dziwnego, że jego ducha technął w Trzecią Rzeszę. A nigdzie jawniej i bezwzględniej nie wprowadzono w życie brutalnych, nieludzkich zasad etyki tego ojca ruchu narodowo-socjalistycznego, niż w obozach koncentracyjnych, gdzie „nadludzie” tępilili ludzi. Adoratorzy siły i przemocy zamykali w obozach obywateli pokonanych przez siebie krajów, którzy nie byli już dla nich ludźmi, ale więźniami, niewolnikami, numerami. Bito nas za użycie przez pomyłkę słowa *Mann*, człowiek – zamiast *Häftling!* – więzień. *Hier gibt's keine Männer, hier sind nur Häftlinge!*⁴ To zdanie słyszeliśmy nieraz w czasie pobytu w obozie.

Więzień mógł istnieć tak długo, jak długo przynosił pożytek swoim panom; osłabły, chory, niezdolny do pracy szedł do komory gazowej, do krematorium. Litość nazywano słabością, czymś niegodnym narodu mocnych. Uczucia ludzkie nazywano przesądem, zrodzonym pod wpływem wychowania chrześcijańskiego. Etykę Chrystusową uznano za oszustwo na korzyść słabych.

Ten duch „panów” udzielał się i więźniom. Przybywszy do obozu, zaczynali zaraz nieubłaganą walkę o byt, o przetrwanie. Jedni nie mieli żadnych zasad, żadnych skrupułów, toteż starali się zachować życie za wszelką cenę, zdobywając lepsze warunki bytowania wraz z nadzieją przetrwania, ale kosztem współwięźniów, wysługując się władzom esmańskim. Inni znów posiadali wyjątkowy spryt życiowy i tym sprytem, nieraz i innym pomagając, zdobywali dla siebie lepsze warunki. Pozostali wreszcie, nie zaliczający się ani do jednych ani do drugich, ginęli w tej walce o byt.

Przyjrzyjmy się obecnie, jak wyglądało życie więźnia od chwili jego przybycia do obozu koncentracyjnego.

Z chwilą nadejścia do obozu większego transportu więźniów sprawdzano najpierw listę nowo przybyłych, zwanych w żargonie obozowym *Zugangami*. Następnie rozbierano wszystkich do naga i pozbawiano wszystkich rzeczy prywatnych. Do obozu nie wolno było absolutnie wnieść nic swojego, ani butów, ani bielizny, ani medalika, ani nawet przywiezionej żywności. Zabierano wszystko. Żywność i papierosy konfiskowano, resztę rzeczy oddawano do osobnej przechowalni.

Następnie szli wszyscy do fryzjerów, którzy usuwali owłosienie z całego ciała; po kąpieli pod natryskiem następowały oględziny lekarskie. Lekarz z organizacji SS przyglądał się defilującym przed nim więźniom. Obrzucał ich pobieźnym

³ *Ihr alle seid Mist des grossdeutschen Reiches. Das Schutzhaftlager ist ein Misthaufen, wo ihr alle verrecken sollt. Der einzige Weg in Freiheit für euch alle ist – der!*

⁴ Tu nie ma ludzi, tu są więźniowie.

spojrzeniem i czasem pytał o przebyte choroby. Nowo przybyły ulegał zwykle złudzeniu, że może zostanie uznany za niezdatnego do obozu, jeżeli poda wielką ilość chorób. Ale zły stan zdrowia nie był nigdy powodem zwolnienia z obozu. Jeżeli więzień był słabowity, tym lepiej, nie będzie z nim długo kłopotu; podane przez niego choroby posłużą za usprawiedliwienie rychłej jego śmierci...

Po badaniu lekarskim więźniowie podchodzili do stolików, gdzie pisarze zapisywali ich personalia, przydzielali im numer porządkowy, który odąd miał być właściwym imieniem i nazwiskiem więźnia, i kierowali ich do poszczególnych bloków.

Dopiero po odbyciu tych wszystkich formalności otrzymywało się białiznę, ubranie, drewniane „pantyny” (chodaki) i szło się na wyznaczony blok; tam więzień przechodził pod opiekę personelu blokowego.

Pobyt w obozie rozpoczynało się tzw. kwarantanną trwającą kilka tygodni. Okres ten był oficjalnie przeznaczony na „włożenie się” do porządku obozowego; ale właściwym jego celem było sterroryzowanie więźnia, zgnębienie go moralnie i fizycznie, niekiedy wprost złamanie. Każda bowiem szykana i udręka miała niewinną nazwę i całkiem rozumną motywację. I tak np. wyczerpujące a zarazem ogłupiające ćwiczenia gimnastyczne nazwane były *Exerzieren* albo *Sport*. Stawianie niewykonalnych wymagań w zakresie schludności i porządku nazywano *Sauberkeit*. Posłanie chorego do komory gazowej określało się jako *Sonderbehandlung*⁵. Skazanie starca lub kaleki na śmierć to po prostu *Invalidentransport*⁶.

Pod byle pretekstem, za jakieś głupstwo, często w ogóle za nic można było otrzymać meldunek karny, tzw. *Strafmeldung*. A że sprawiedliwość wymaga wysłuchania oskarżonego, istniały przeto w obozie słynne śledztwa, tzw. *Vernehmung*. Jednakże na tym śledztwie wolno było tylko przyznać się do winy, do postawionego zarzutu (tak przynajmniej było do r. 1943). Odpowiadało się *Jawohl!*, a w zamian słyszało się krótkie: *Hau ab!*⁷ i śledztwo było skończone. Potem następowała kara. Jeżeli oskarżony próbował zaprzeczyć stawianym zarzutom, prowadzący śledztwo zrywał się z krzykiem: *Was?!* a na meldunku dopisywał: *Und frech dazu*⁸. Kara po takiej adnotacji była jeszcze surowsza.

Nie można twierdzić, że wszystko, co działo się w obozie, działo się z rozkazu władz obozowych. Wiele szykan i zbrodni było nadużyciem. Jednakże władze obozowe o tych nadużyciach wiedziały, patrzyły na nie przez palce, nieraz nawet cicho je pochwalały, lub wręcz do nich zachęcały. Większość niemieckich więźniów, nawet politycznych, doszła do perfekcji w odgadywaniu myśli swych przełożonych, toteż działała bez wyraźnego rozkazu, jedynie wedle odgadniętego ich życzenia. Była to straszna parodia doskonałego posłuszeństwa w czynieniu zła.

Władze niemieckie były na ogół zbyt chytre, by popełniać otwarcie zbrodnie i brać na siebie za nie odpowiedzialność. Do przeprowadzenia swych zbrodniczych

⁵ *Sonderbehandlung* – tu: Szczególne potraktowanie, osobna kuracja.

⁶ Transport inwalidów skazanych na zagazowanie.

⁷ *Hau ab!* – Splywaj! Zmykaj!

⁸ *Co?!* A do tego zuchwały!

planów używały samych więźniów, bardzo często nawet innych narodowości, niejednokrotnie, niestety, i Polaków. Były wśród więźniów typy podłe, i te starały się przeżyć obóz za wszelką cenę i to możliwie wygodnie, a nawet zrobić swoistą karierę w obozie. Najpewniejszą drogą do tego celu było wystugiwanie się „panom”, bicie i maltretowanie współwięźniów. Raz biło się Polaków, kiedy indziej Żydów, księży, Rosjan, jeńców wojennych, zależnie od wiatru, jaki powiał z góry. Kto tak postępował, mógł być pewnym, że kiedyś osiągnie jakieś stanowisko, najpierw skromne, np. izbowego, pomocnika kapo w grupie roboczej, czyli w tzw. komandzie, a następnie może blokowego, czy nawet obozowego... A kto znalazł się na takim stanowisku, należał już do grupy „prominentów” obozowych, miał pracę lekką, w dobrych warunkach, albo nawet wcale nie pracował fizycznie. Był odtąd przy źródłach dochodu obozowego, nie cierpiał głodu ani zimna.

Nie można jednak twierdzić, że wszyscy, którzy się na takich stanowiskach znaleźli, byli podłymi typami. Znałem ludzi z elity „prominentów”, którym nic nie można było zarzucić. Jakże więc dostali się na te stanowiska? Stanowiska kapów w fachowych grupach roboczych, w stolarniach, ślusarniach itp. władze obozowe obsadzały we własnym interesie dobrymi fachowcami. Ci bywali często ludźmi porządnymi. Na podobne wpływowe stanowiska dostawali się też ludzie sprytni, ale nie źli.

Z obozami koncentracyjnymi wiązała się ściśle nieoficjalna instytucja „organizacji”, czyli kradzieży. Trzeba jednak wiedzieć, że etyka obozowa rozróżniała kradzież od organizacji. Kradzieżą było przywłaszczenie sobie czegoś, co było prywatną własnością więźnia czy osoby cywilnej spoza obozu. Organizacja zaś to zawładnięcie jakąkolwiek rzeczą publiczną, rządową lub esmańską. Pod miano organizacji podciągały inne narodowości przywłaszczenie sobie w ogóle własności Niemca, szczególnie żywności lub rzeczy, którą można było potem przehandlować za żywność. Otóż, jeśli ktoś miał spryt do organizacji, ten robił szybko karierę obozową, ponieważ tak więźniowie jak i esmani chcieli mieć na takich stanowiskach ludzi sprytnych, organizujących śmiało, lecz bez wsypy.

Organizowali wszyscy, dosłownie wszyscy. Nie organizował tylko ten, kto nie potrafił, albo nie miał okazji. Wszyscy, którzy przetrwali w obozie lata 1940-1942 stanowią najlepszy dowód na to, że organizowali. Gdyby bowiem zachowywali wszystkie przepisy władz obozowych, dawno by pomarli. Nasze życie było „zorganizowane”, ukradzione; żyliśmy dzięki organizacji.

Ale nie tylko więźniowie organizowali. Robili to samo esmani, tylko że w ich przypadku trudno to nazwać organizacją. Nie spotkałem esmana, który nie okradałby Wielkiej Rzeszy. Zdarzali się esmani, którzy nie byli bestiami, ale nie było takich, którzy by nie kradli.

Dlatego na stanowiska w obozie dostawali się nieraz więźniowie – ludzie porządni i sprytni, którzy ku ogólnemu zadowoleniu umieli bezkarnie organizować.

Trzecim wreszcie sposobem, dzięki któremu dostawali się na stanowiska ludzie przywoici, było przekupstwo. Pieniądze, papierosy, a od 1943 r. artykuły żywnościowe z paczek torowały drogę do lepszych stanowisk.

W Dachau do 1944 r. prawie wszystkie wybitniejsze stanowiska były w rękach niemieckich więźniów politycznych. Byli oni doskonale zorganizowani, misterną siecią wpływów omotali esmanów, władali prawie niepodzielnie obozem. Do Polaków i księży byli na ogół nastawieni wrogo.

Esmani i władze obozowe rozbudzały i perfidnie wyzyskiwały wszelkie różnice ideologiczne więźniów. Posługiwały się jednymi dla wykańczania drugich, szczyły jednych przeciw drugim. Nie rzucającym się w oczy wykańczaniem ludzi było ustawiczne przerzucanie więźniów z jednego obozu do drugiego. Każdy obóz jakby się specjalizował w eksterminacji danej grupy więźniów.

Najpierw podzielono więźniów na różne kategorie nadając im odpowiednie znaki rozpoznawcze.

Kryminaliści – *zielony trójkąt*.

Polityczni – *czerwony trójkąt*.

Aspołeczni – *czarny trójkąt*.

Przestępstwa seksualne (pederaści) – *różowy trójkąt*.

Badacze Pisma św. – *fioletowy trójkąt*.

Bezpaństwowi – *niebieski trójkąt*.

Żydzi – *gwiazda sześcioramienna*.

Więźniom politycznym różnych narodowości dodawano na trójkątach początkowe litery danej narodowości. I tak Polacy mieli P, Francuzi F, Rosjanie R, Włosi I, z tym, że większość Włochów otrzymała czarny trójkąt.

W pierwszych latach powstania obozów były one nastawione głównie przeciw komunistom niemieckim i tych wykańczali kryminaliści (zielone trójkąty). Potem przyszła kolej na Żydów, a przeciw nim nastawiono zielonych i niektórych czerwonych. W pierwszych latach wojny we wszystkich obozach wykańczano Polaków, a przede wszystkim inteligencję polską. Potem każdy obóz miał swoją „specjalność”. Oświęcim – Polaków i Żydów; wykańczali ich przeważnie Niemcy z zielonymi trójkątami. Mauthausen wykańczał początkowo Austriaków przy pomocy zielonych Niemców, potem ci sami Niemcy przy pomocy, niestety, niekiedy Polaków wykańczali Czechów. W Dachau, zwłaszcza w 1942 r., likwidowano polskich księży przy pomocy czerwonych Niemców. W Sachsenhausen uprzywilejowanymi i dobrze traktowanymi byli badacze Pisma św., ale wiem, że był obóz, którego dziś nazwy nie pamiętam, zdaje się Buchenwald, gdzie szczególnie srożono się właśnie przeciw nim. Od 1942 r. wycierpieli dużo we wszystkich obozach Rosjanie. Ci, co przyszli do obozu po 1942 r., kiedy nastąpiło ogólne polepszenie warunków, doznali stosunkowo najmniej udręki; byli to przede wszystkim Francuzi i Włosi.

Jeżeli w obozach niemieckich zginęły miliony ludzi, to trzeba powiedzieć, że do wymordowania tych milionów posłużyli się Niemcy przeważnie samymi więźniami; jedni mordowali drugich pod esmańską komendą. Zasadę *divide et impera* (dziel na wrogie grupy i rządź nimi) stosowano nawet do księży różnych narodowości.

TRAGICZNA JESIEŃ

1 IX – 9 XI 1939

31 sierpnia 1939

Chyrów. Siedzę wieczorem przy aparacie radiowym z o. Turkiem i z ks. Natońskim. Słuchamy naprzód audycji polskich z Wrocławia. Dowiadujemy się o słynnych 16 punktach Hitlera. Chwilę później podano w języku niemieckim wiadomość o „napadzie polskim” na Gliwice i o odparciu tegoż. Łapiemy Warszawę. Podają zwyczajne wiadomości polityczne, potem spiker krótko i ogólnikowo, ale z nutą oburzenia w głosie wspomina o 16 punktach Hitlera. Wyjaśnia następnie sprawę rozpoczętej tego dnia powszechnej mobilizacji. Nagle jakaś zmiana, jakby wyłączenie jednego a włączenie innego kontaktu i Warszawa nadaje niemieckie marsze wojskowe z Wrocławia!... Przystawiamy się na Lwów – to samo! Chwytny Poznań, Kraków, Katowice, Wilno, Baranowice – wszędzie to samo! Ks. Natoński zrywa się zdenerwowany. – Zdradzili nas – woła. Rzeczywiście, jest w tym coś niesamowitego. Czyżby i z nami miało się tak skończyć jak z Austrią i Czechosłowacją? Po godzinie 1-ej w nocy idziemy spać.

1 września 1939

Mszę św. odprawiłem o godz. 7-ej. Idąc na śniadanie spotykam przed jadalnią o. Łazarczyka. Mówi mi: Gdańsk przyłączony do Rzeszy. Wojna rozpoczęta! O godz. 10-ej słuchamy u prefekta generalnego, o. Wałęckiego, mowy Hitlera. Dowiadujemy się, że to Polska rozpoczęła wojnę, że biedne Niemcy muszą się bronić... Co za bezczelne kłamstwo!... Potem słuchamy Warszawy, Krakowa. Wiadomości o pierwszych bombardowaniach ze strony niemieckiego lotnictwa. Jak zachowa się teraz Anglia i Francja? Przecież są związane z nami sojuszem.

2 września

W Anglii i Francji ciągle narady, deklaracje i mowy, a my krwawimy już na dobre. Zaczyna to niektórych denerwować, szczególnie o. Koppensa. Tymczasem lotnictwo niemieckie bezkarnie hula nad Polską. Nasze radio stało się nagle jakoś bardziej pobożne. Słowo Bóg słyszy się coraz częściej.

3 września

O godz. 10⁴⁵ premier Chamberlain wygłosił przez radio krótką mowę, w której oświadczył: Wielka Brytania znajduje się w stanie wojny z Niemcami! Entuzjazm

w radio. U nas w Chyrowie też. O. Błaszczyk nie może wytrzymać ani pół sekundy. Wskoczył z sali jak mały chłopak, by roztrąbić wiadomość po całym domu. O. Koppens płacze. Po południu i Francja wydaje wojnę Niemcom. Entuzjazm w rozgłośni warszawskiej.

5 września

Na froncie, a raczej na frontach coraz gorzej. Padły już Częstochowa, Grudziądz, Bydgoszcz, Chojnice...

6 września

W czasie obiadu przyjeżdża z Krakowa drugi i trzeci rok filozofii z o. Krzyżanowskim. Nie wszyscy są z tego zadowoleni. O. Krzyżanowski z filozofami przeżyli w drodze straszne bombardowanie pociągu. A cóż mówić o bombardowaniu w Krakowie, przed którym uciekli! Przecież nasze kolegium jest tak blisko dworca kolejowego.

7 września

Chyrów pustoszeje. Młodzi ojcowie wyjechali na probację do Lwowa, magistrzy na teologię do Lublina. O. rektor Cisek oświadcza, że bez względu na to, jak daleko będzie front od Chyrowa, nauki w konwikcie nie będzie. Powiadam mu, że w takim razie i ja nie mam co robić w Chyrowie. Na to słyszę odpowiedź, że w Chyrowie będzie szpital wojskowy, że trzeba będzie nad chorymi roztoczyć opiekę duchowną. Wtedy ja: Będzie przecież tylu innych ojców, którzy w Chyrowie zostaną. Ale o. Cisek nie chce nawet słyszeć o moim wyjeździe. Zresztą, mówi, nie ma dokąd. Nawet o. Majcher pisał ze Lwowa, że domy nasze są tam przepełnione uciekinierami. Rozchodzą się pogłoski o zajęciu przez Niemców Krakowa. W nocy słucham przez radio wiadomości o zbombardowaniu i spaleniu Jasnej Góry. (Na szczęście okazały się nieprawdziwe).

8 września

Przez cały dzień trwają naloty niemieckie na różne miasta polskie. Donosi o tym radio. Długo w noc słucham Warszawy. Niemcy ogłosili, że dziś o godz. 5-ej po południu wkroczyli do stolicy Polski. Warszawa I milczy. Warszawa II nadaje rozkaz gen. Czumy, wzywający do obrony miasta. Za chwilę Niemcy wpadają na tę samą falę i wzywają do poddania się. Robi to niesamowite wrażenie. Ta walka w eterze jest jakby symbolem zmagania naszej Ojczyzny z Niemcami.

Po Mszy św., gdy właśnie odprawiałem dziękczynienie, nastąpił nagle alarm lotniczy! Ponieważ wraz z o. Kościszem jesteśmy wyznaczeni do „pogotowia kapłańskiego”, chwytam skrzynkę, w której mam oleje św. i stulę, i biegnę za ogród, do grot. Mamy wprawdzie urządzone schron, ale nie lubię schodzić do niego; tutaj przynajmniej widzę, co się dzieje. Nadleciało kilkanaście maszyn niemieckich, ale przeleciały spokojnie nad Chyrowem, bombardują Felsztyn i Sambor. Ludzie powychodzili ze schronów.

Po kilkunastu minutach znów alarm. Bombowce wracają tą samą drogą. Nagle przeraźliwy świst spadających bomb, huk i wstrząs, słupy ognia i dymu nad Chyrowem. Rozlega się grzechot karabinów maszynowych; kule trzepią po liściach i po ścieżkach naszego ogrodu. Trwa to zaledwie kilka chwil i maszyny odlatują na zachód. Biegnę natychmiast na miejsce bombardowania. Przed dworcem kolejowym na trawniku leży dziewczyna, podtrzymuje ją kolejarz. Młoda, może 15, 16 lat. Jedna stopa urwana, druga noga strzaskana w goleniu. Jęczy, płacze i powtarza w kółko: Ja chcę żyć! Ja chcę żyć! Pytam, czy katoliczka. Odpowiada, że katoliczka, i zaraz dodaje: Ja chcę żyć... Udzielam jej namaszczenia olejami św. i biegnę dalej. Spotykam chłopca, lat może 13, może 14; dolna szczęka urwana; nie płacze, nie jęczy, tylko szeroko otwarte oczy są pełne łez. Widok okropny. Wchodzę do poczekalni III klasy. Wpadła tu jedna bomba. Wśród gruzów ranni i trupy. Udzielam warunkowych rozgrzeszeń i namaszczeń. Pomiędzy wagony padły również bomby. Tutaj znowu ta sama masakra.

Przybiega do mnie jakiś mężczyzna i prosi, by pójść z nim na Posadę Chyrowską, gdyż bomba spadła ponoć na jego dom; nie wiadomo, co się stało z żoną i z dzieckiem; może trzeba będzie kogoś zaopatrzyć. Idziemy. Na dworcu w Posadzie płoną składy i cysterny z naftą, ale nie ma ofiar w ludziach. Wspomniany dom leży w gruzach; na kupie zwalonych i połamanych belek i desek stoi lekko nachylony obraz Najśw. Serca Jezusowego, przed którym niedawno o. Kościsz dokonał poświęcenia tej rodziny Najśw. Sercu. Przy gruzach klęczy kilka osób, modlą się. Nikt nie zginął. Przypadek, czy cud opieki Najśw. Sercu? Na dom spadła bomba ciężkiego kalibru, ale nie wybuchła. Żona lekko tylko draśnięta w szyję przez spadającą belkę, była bowiem na balkonie; dziecko zdrowe, bo parę minut przedtem wybiegło do sąsiadów.

Ludzie zatrzymują mnie na ulicy i proszą o spowiedź. Koło godz. 11-ej wracam do kolegium i teraz dopiero zaczyna mi się robić niedobrze... Ręce mam zbrukane krwią, zbiera mi się na wymioty... Zaopatrzyłem 43 rannych, i to ciężko rannych, w tym ani jednego żołnierza. Jestem dotąd na czczo, ale nie mogę nic jeść, mdli mnie. Zły jestem sam na siebie, że aż tak wielkie wrażenie wywarł na mnie pierwszy widok wojny. Powiedziałem o. rektorowi, że gdyby dzisiaj nastąpił jeszcze jeden atak lotniczy i bombardowanie, to wolałbym, żeby kto inny poszedł zaopatrzać rannych.